

EDYTA ŚWIĘTEK

SANDOMIERSKIE WZGÓRZA

POTOMKOWIE ZŁYCH LUDZI

© Wydawnictwo WAM, 2024

© Edyta Świętek, 2024

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Monika Orłowska

Korekta: Maria Armatowa

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3718-2

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: POZKAŁ • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o

Od Autorki

Kochani!

Zapraszam Was w kolejną długą podróż – ponownie oddaję w Wasze ręce pierwszy tom nowej sagi. Robię to z delikatnym onieśmieleniem, ponieważ zastanawiam się, jak przyjmiecie nowych bohaterów: czy pokochacie ich równie mocno jak ja?

Tym razem wybierzemy się wspólnie na przepiękną ziemię sandomierską – w Góry Pieprzowe oraz do miasta o wielowiekowych dziejach. Na potrzeby niniejszej powieści pokusiłam się o małe nagięcie faktów. Otóż tradycje winiarskie w Sandomierzu sięgają trzynastego wieku, ale z uwagi na zmieniający się klimat zaprzestano komercyjnej produkcji win w połowie dziewiętnastego wieku i dopiero dwudziesty pierwszy wiek przyniósł ponowną uprawę winorośli na skalę przemysłową. Bohaterów mojej sagi poznajecie w okresie dwudziestolecia międzywojennego i część z nich bierze aktywny udział w zakładaniu plantacji.

Skoro jestem już przy bohaterach, nie sposób nie wspomnieć o problemach, z jakimi przyjdzie im się mierzyć. Mamy szczęście żyć w czasach, gdy duży nacisk kładzie się

na zdrowie psychiczne. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu zagadnienia takie jak zespół stresu pourazowego czy dorosłe dzieci alkoholików były całkowicie nieznane. Chciałam pochylić się zarówno nad uczestnikiem wojny, który przez wiele lat musi zmagać się z traumą, jak i nad dziećmi z rodziny zdominowanej przez alkohol. Moi bohaterowie żyją w czasach, gdy takie problemy ciągnęły się z pokolenia na pokolenie i nie było skutecznych sposobów na odcięcie się od bolesnej przeszłości.

Na ostatek chciałabym serdecznie podziękować Wam, moi wspaniali Czytelnicy, że jesteście przy mnie, dodajecie mi skrzydeł do dalszej pracy i tak ciepło przyjmujecie moje powieści. Bez Waszego zainteresowania nie byłoby mojej twórczości.

Pozdrawiam serdecznie!

Edyta Świątek

1

Niebezpieczne ścieżki

Rok 1921

Stojący na wzgórzu Eustachy zaczerpnął powietrza w płuca tak mocno, że poczuł, jak wypełniają się nim po ostatni pęcherzyk. Wytężył wzrok i spojrzał na rozpostartą u swych stóp panoramę miasta oraz pobliskich wzgórz porośniętych roślinnością przypominającą step. Niewysokie góry uformowane były z brunatnoszarych łupków przywodzących na myśl ziarna pieprzu. W oddali widział piękno jesiennych ogrodów, które właśnie przyoblekały się w cały przepych królewskich i żebraczych barw, mieniając się złotem i purpurą, brązowiejąc uschniętym listowiem i obnażonym konarem, a gdzieś tam wciąż ukazując zmęczoną, wyblakłą zielen. Dostrzegł czerwone dachy domów oraz strzeliste dachy kościelnych wież. W błękitnej wstędze rzeki przeglądały się jasne mury sporego gmachu, w których Eustachy rozpoznał wzniesione na początku siedemnastego wieku Collegium Gostomianum*. W pewnym oddaleniu od niego wznosił się

* Collegium Gostomianum – pierwotnie kolegium jezuickie ufundowane w 1602 roku przez Hieronima Gostomskiego i rodzinę Bobolów. Obecnie pełni funkcję zespołu szkół średnich.

dostojnie renesansowy zamek królewski, a pomiędzy tymi najokazalszymi budowlami dziurawiły niebo ostrza wież: ukrytej za spichlerzem i wikariatem bazyliki katedralnej pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny oraz barokowej wieży dzwonnicznej; nieco dalej, po prawej stronie, widać było również wieżę ratuszową. Dom Długosza wciąż stał podupadły, niczym wyrzut sumienia, jakich wiele było w tym mieście okaleczonym dotkliwie przez potop szwedzki.

Sandomierz i Góry Pieprzowe! O ironio losu!

Zdążyłem zapomnieć, jak tu pięknie! Kres mojej wędrówki – przemknęło przez myśl strudzonego wędrowca. – Przeszedłem już dość. Nikt mnie nie ściga. Tutaj powinienem być teraz bezpieczny, wszak nie od dzisiaj znana jest prawda, że najciemniej pod latarnią. Zresztą czy ktokolwiek rozpoznałby mnie z tymi kudłami i w zniszczonych łachach?

Wysoki, postawny mężczyzna miał na sobie mocno znożony mundur piechura. Najporządniej prezentowały się solidne buty i szeroki skórzany pas, za który zatknął pistolet oraz bogato zdobiony sztylet ze stali damasceńskiej. Choć ostrze wsunięte było w pochwę, rzucało się w oczy, że to nie byle jaki drobiazg. Eustachy postanowił, że zanim dotrze do miasta, dobrze ukryje owo cacko, które wielokrotnie ratowało mu życie bądź nastroczało różnych problemów, gdyż wzbudzało stanowczo zbyt duże zainteresowanie. Bo niby skąd u obdartusa, tułającego się Bóg jeden wie dokąd, tak kosztowny przedmiot? Nie każdy jednak, kto spojrzał na wiecznie posepne oblicze Eustachego, miał dość odwagi, by zagadywać o ostrze, bowiem zarówno posturą, jak i fizjonomią mężczyzna budził respekt.

Trudno byłoby jednoznacznie określić wiek tego człowieka. Ciemną czuprynę, dla wygody splecioną w dwa warkocze, oraz bujną brodę gęsto przetykały siwe nitki, połyskujące w promieniach porannego słońca, które padały wprost na ogorzałą twarz. Lewa brew przecięta była pręgą zabliźnionej dawno rany, ciągnącej się od linii włosów poprzez czoło aż ku płatowi niewidocznego pod włosami ucha. Owa rana musiała być raczej powierzchowna, ponieważ mężczyzna zachował oko o brązowej tęczówce. Krzaczaste, nieco nastroszone brwi przydawały mu jeszcze groźniejszego wyglądu. Masywny orli nos górował nad wąsami, pod którymi niknęły cienkie, zaciśnięte wargi. Oblicze miał więc isticie zbójckie, a do tego burkliwą naturę, niechętnie wdawał się w pogaduszki – wciąż nieufny, jakby przyczajony, łypał uważnie na ludzi ciemnymi ślepiami. Na dodatek jeszcze łapska miał masywne, zdawać by się mogło, że gołymi rękami może łamać podkowry. Lata wojennej tułaczki nie ujęły mu tężyzny, przywodził na myśl potężnego tura, z którym nie sposób się mierzyć. Cała jego postać sugerowała, że lepiej nie wchodzić mu w drogę.

Skoro więc dotarł w sandomierskie okolice, czekało go poszukiwanie godziwego zajęcia i kąta do spania. O robotę bardzo się frasował – ludziom żyło się ciężko, szalało bezrobocie, inflacja pożerała kapitały. Sandomierz był miejscowością mocno podupadłą już wówczas, gdy przebywał w nim po raz pierwszy. Nawet centrum straszło wtedy w niektórych miejscach drewnianymi ruderami i ulicami o lichej zabudowie. Ponieważ jeszcze do niedawna był to teren przygraniczny, można było założyć, że poważnie ucierpiał w okresie

wielkiej wojny. Lata świetności dawno miał za sobą. Jego największy rozkwit przypadał na zamierzchłe czasy jeszcze przed najazdem Szwedów.

Może łatwiej byłoby zacząć nowe życie w większym mieście? Tam, gdzie stoją fabryki, gdzie wszystko się odradza, gdzie zabiły się rany wojenne?

Właściwie bieda wciąż pisała w całym kraju, coś więc mogło być inaczej tutaj? Wszędzie piętrzyły się trudności, a on sam nie ułatwiał sobie działania, bo na pierwszy rzut oka przypominał dzikusa, który ostatnie lata spędził w lesie. By znaleźć zatrudnienie, musiał najpierw zadbać o przyzwoity wygląd, aby nie odstraszać ludzi. Potrzebował kąpieli, choćby w rzece. W plecaku, który miał ze sobą, prócz kostki mydła i kilku przydatnych drobiazgów przechowywał też solidniejsze odzienie: dość czystą koszulę, mało znoszone spodnie i kapotę na grzbiet. Oszczędzał te rzeczy podczas tułaczki właśnie na taką okazję.

Rozejrzał się wokół. Dostrzegł w pobliżu wartko płynący potok, który z dużym prawdopodobieństwem kończył swój bieg w nurtach Wisły. Mógł więc liczyć na czystą wodę, zapewne lodowatą, ale było mu wszystko jedno. Zdażył przywyknąć do niewygód. Ostatnie noce spędzał w zaimprovizowanych obozowiskach, nosił ze sobą pałatkę oraz pled, które dawały względne schronienie i ciepło. Ogień skutecznie ogrzewał, odstraszał także drapieżniki. Gdyby Eustachy wiedział, że jego ostatni nocleg wypadnie tak blisko miasta, pewnie wędrowałby w gęstniejących ciemnościach, byle dotrzeć tam, gdzie można było liczyć na dach nad głową oraz miskę solidnej stawy. Ostatnio żywił się zającami

pieczonymi nad ogniskiem i resztkami sucharów. Pytanie tylko, czy po zapadnięciu zmroku ktokolwiek wpuściłby tak pośępnie wyglądającego zbira do swego obejścia. Mimo iż wojna dobiegała końca, na świecie wciąż było niespokojnie i niebezpiecznie, a drogami nadal tułały się hordy powracających do domu żołnierzy, pośród których nie brakowało również wszelkiej maści złodziei i rzezimieszków. Eustachy, wiedziony własnym instynktem, nie przyłączał się do takich grup, wolał samotność i mało uczęszczane szlaki.

Dziarsko zszedł ze wzgórza. Dotarł nad strumień. Tam rzucił z ramion plecak. Wydobył z niego mydło oraz kawał płótna, który służył mu za ręcznik. Ludzie mogli zwać go dzikusiem, zbirem, ponurym oprychem, lecz nikt nie miał prawa określić go mianem śmierzdźla. To w jego odczuciu odróżniało go od zwierząt oraz prymitywnego motłochu – dbał o higienę i kiedy tylko mógł, zabiegał o czystość swego ciała. Wierzył głęboko, że wiele chorób bierze się z brudu. Na wojnie widział rany toczzone gangreną, których nikt nie oczyścił na czas. Widział kompanów męczonych przez dyzenterię, której jego zdaniem nabawili się, jedząc brudnymi dłońmi bądź łyżkami z brudnych misek. Śmiali się z niego, że paniczek, ilekroć widzieli, jak szoruje ręce i utensylia. Za to potem on się nie śmiał, gdy ból skręcał im kiszek. Kiwał tylko głową z politowaniem.

Duszy oczyścić nie mógł.

Potok, zgodnie z przewidywaniami, był zimny jak lód. Eustachemu jednak to nie przeszkadzało, był zahartowany. Gdy już się obmył i włożył świeże odzienie, zerknął jeszcze na swoje odbicie w płynącej wodzie. Kiepskie zwierciadło

uprzytomniło mu, że ze skołtunioną brodą nadal wygląda jak zbój. Wyjął więc sztylet, by nieco skrócić zarost. Na szczegółowsze zabiegi pielęgnacyjne przyjdzie czas później, stwierdził. Teraz ważne było, aby zyskać w miarę przyzwoity wygląd. Twarzy tak czy owak nie mógł doszczętnie ogolić.

Doprowadziwszy się do względnego ładu, ruszył dalej przed siebie, wypatrując przeprawy na Wiśle. Wkrótce dotarł do bardziej uczęszczanego traktu, choć pewnie nadal leżącego na uboczu, gdyż koleiny wyżłobione przez wozy zarastało płożące się zielsko.

Wtem Eustachy usłyszał stłumione krzyki. Ktoś wzywał pomocy!

Wiedziony impulsem, przyspieszył kroku. Po chwili, gdy wynurzył się zza drzew, dostrzegł rozstaje ze świątkiem, u którego stóp toczyła się bitwa na pięści i kopniaki, przy czym siły w owym pojedynku rozłożone były nader nierówno. Dwóch drabów trzymało ofiarę, trzeci wymierzał ciosy. Twarz bitego spływała krwią z nosa i rozciętego łuku brwiowego. Biedak jeszcze stawiał opór, próbował się szarpać i wyrywać, lecz z góry skazany był na porażkę. Eustachy bez namysłu zrzucił z grzbietu balast i cisnął go w pobliskie krzaki.

– Puśćcie go, jeśli wam życie miłe! – ryknął, dobywając zza pasa pistolet. Sztylet jak na złość miał schowany w plecaku, czego teraz żałował, bo na ostrzu mógł zawsze polegać, w przeciwieństwie do broni palnej.

Oprawcy najwyraźniej nie przejęli się groźbami, wciąż trzymali szamocącego się człowieka, chociaż na moment poniechali niecnego procederu. Najzacieklejszy agresor niczym na komendę zwrócił się w stronę Eustachego. Ten

zdławił śmiech na widok dość niepozornego osobnika o wysokim czole przeciętym kilkoma bruzdami, jakby na jego twarzy zastygł wyraz wiecznej wściekłości, i szczące z rzadka porośniętej miedzianej barwy szczecinę. Spod zmarszczonych brwi spoglądały szare oczy, z których wizerowała wielka nienawiść do całego świata. Drobnym był nieczym smarkacz, co ledwo puścił matczyną spódnicę, choć z nieprzyjaznej gęby dało się wywnioskować, że jadł chleb z niejednego pieca. Eustachemu przywiódł na myśl czupurnego lilipuciego kogucika. Wiedział, że takiego przeciwnika nie można lekceważyć w bójce. Ktoś taki jak on zapewne nie powali nikogo na ziemię jednym ciosem, lecz może być cholernie wytrwały w działaniach, przypominając dotkliwie kłusującego insekta. Tacy jak on miewali niespożyta energię, potrafili zamęczyć przeciwnika skutecznością. Mikrus zdecydowanie nie nadawał się do tego, by unieruchomić wijącą się ofiarę – jemu łatwo byłoby się wyrwać. Ale ze wsparciem kolegów, którzy poskromili nieprzyjaciela, stawał się istnym katem.

– Nie mieszaj się – syknął jeden z hultajów trzymających bitego człowieka. – Winien nam jest pieniądze. Przegrał w karty, a potem usiłował prysnąć. Nie z nami takie sztuczki. Tak mu galantnie stłuczemy pysk, że rodzona matula nie rozpozna ścierwa.

– Jak go zatłuczecie, nie odzyskacie długu – zauważył roztropnie Eustachy. – Zostawcie go, bo powystrzelam was jak kaczki!

– A to strzelaj! – rzucił ryży chłystek, lustrując go uważnym spojrzeniem. – Jeśli tylko nie żal ci kul. Ino celuj w to

ścierwo, skrócisz mu męki. Tak czy siak jest już trupem, bo ja nie puszcę go żywym.

Bezczelność rudzielca wzbudziła irytację w Eustachym. Przejrzał go łotrzyk! Naboi rzeczywiście miał tyle, co kot napłakał. Gdyby przyszło co do czego, z całą pewnością nie starczyłoby ich na unieszkodliwienie zabijaków. Mógłby wprawdzie wystrzelić na postrach, lecz nie miał gwarancji, czy owa demonstracja siły zrobi na opryskach należyte wrażenie. Szybko przekalkulował w duchu, że lepiej nie tracić w nierozsądny sposób cennych zasobów. Ufał sile swych mięśni oraz zaprawie w walkach. Zatknął bezużyteczny pistolet za pas, a potem zbliżył się do bitników, którzy na czas krótkiej wymiany zdań poniechali pastwienia się nad ofiarą.

– Ratuj, dobry człowieku – jęknął poszkodowany. – O królu złoty! Miej litość!

Eustachy, zamiast dalej kalkulować, wymierzył celnie w szczękę rudego, licząc na to, że silniejsi pobratymcy ruszą mu z pomocą, uwalniając tym samym nieboraka. Może ów nieszczęśnik nie był jeszcze aż tak mocno skatowany i będzie w stanie odeprzeć atak, a przynajmniej skutecznie się obronić. Rzeczywiście zbóje puściły ofiarę. Poszkodowany w pierwszym momencie padł jak długi, przywodząc na myśl trupa, choć jeszcze przed momentem skamlał o pomoc. Eustachy nie miał jednak czasu na przemyślenia. Parował ciosy, robił uniki, młócił rękami jak oszalały, odpierając atak trzech zbirów. Zgodnie z jego przewidywaniami najdokuczliwsze okazało się ryże chuchro o nienawistnym spojrzeniu. Jego dwaj kompani, choć mieli więcej siły w mięśniach, byli

znacznie wolniejsi, mniej skuteczni i łatwiej było sięgnąć ich pięściami. Na moment Eustachy skupił uwagę na nich, licząc na szybkie wyeliminowanie ich z bójki. Z łatwością powalił na ziemię jednego z nich, drugi także się słaniał. Cóż, gdy wciąż wspomagał go kąśliwy rudy kurdupeł, który raptem wskoczył na plecy Eustachemu. Zakleszczył go w pasie nogami, wczepił się w ramiona i z całej siły wbił mu zęby w kark. Eustachy zawył niczym zwierzę, a następnie strząsnął z siebie agresora.

– A żeby cię sraczka skręciła, psi pomociu! – ryknął, po czym zajął się uciążliwym przeciwnikiem.

Kątem oka dostrzegł, że człowiek, któremu ruszył z pomocą, pozbierał się z ziemi i stanął do bitki. We dwóch zdołali pokonać napastników. Eustachy przesunął dłonią po karku. Gdy spojrzał na palce, dostrzegł czerwony ślad.

– Ki diabeł? Ukąsił mnie do krwi – stwierdził. – Mam nadzieję, że nie dostanę wścieklizny. Ścierwojad zniszczył moją najlepszą koszulę.

– Chciałbym zauważyć – odezwał się w końcu ocalały człowiek – że plama z krwi to niejeden uszczerbek w twym odzieniu. Ale nic to naprzeciw życia, któreś ocalał. O zbawco mój! O królu złoty! O dobrodzieju! – wykrzykiwał w euforii, czepiając się przedramienia swego dobroczyńcy.

– A idź mi w cholerę – burknął nieprzyjaźnie Eustachy, choć nieco wcześniej z wielką wspaniałomyślnością narażał się dla nieznanego. Ale wtedy buzowały w nim emocje, chciał ratować mężczyznę, któremu śmierć zaglądała w oczy. Teraz miał nową troskę, ponieważ w bójce mocno ucierpiały jego najlepsze rzeczy. Wiedział, że kapota trzasnęła na

plecach w miejscu szwu. Koszula także mocno ucierpiała i raczej niełatwo będzie ją naprawić nawet najzręczniejszej szwaczce. – Szlag trafił!

– O królu złoty! – powtórzył nieznajomy. – Nie frasuj się przyodziewkiem, ja ci to stokrotnie wynagrodzę. Jeszcze dziś odegram się w karty, a wtedy sprawię ci taką koszulę, jakiej sam Wieniawa-Długoszowski* by się nie powstydził. Na salonach będziesz w niej mógł paradować, o królu złoty!

– Ta... Srały muszki, będzie wiosna. W karty wygrasz. Przypominam, że dopiero co uratowałem twą nędzną skórę przed egzekucją za długi karciane – rzucił Eustachy, wyciągając z zarośli plecak.

Przez chwilę się namyślał, czy nie włożyć rzeczy, które zdjął z siebie, nim zażył zimnej kąpieli. Sam już nie wiedział, czy gorsze są tamte łachy, czy te, które ma na sobie. Tamte, choć nieświeże i noszące ślady naprawiania, były przynajmniej całe. Te po bijatyce trudno już byłoby nazwać czystymi, koszulę zbrukała mu nie tylko posoka, ale również ciemne plamy po brudnych rękach i kilku otrzymanych kopniakach, dodatkowo oberwano mu w niej kołnierzyk, a na gorsie któryś z bitników wyrwał sporą dziurę. Cóż, wielokrotnie prany materiał po prostu nie wytrzymał mocnego szarpnięcia.

– Królu złoty! Nie wiesz, z kim mówisz! Jestem najsukuczniejszym pokerzystą w okolicy.

* Bolesław Ignacy Florian Wieniawa-Długoszowski (1881–1942) – generał dywizji Wojska Polskiego, dyplomata i wolnomularz; osobisty adiutant Józefa Piłsudskiego. Zasłynął nie tylko z dokonań militarnych, lecz również jako niezwykle przystojny miłośnik kobiet, koni i dobrej zabawy.

– Ty mnie tu nie królikuj – mruknął z niechęcią Eustachy, ruszając drogą ku rzecznej przeprawie. Leżącymi pokotem bandziorami nie zaprzątał sobie więcej uwagi. Na śmierć ich nie zatłukł. Jak minie pierwszy szok, pewnie się pozbierają i pójdą zbójować gdzie indziej. – Powiedz lepiej, jak się nazywasz.

– Michał Zdunek. Ale zwą mnie Zadziór.

– A Zadziór to przezwanie od końskiego zadu? – zakpił Eustachy.

– Nie! Przebóg! Od zadziornego typka – obruszył się Zdunek. – Znają mnie tu w okolicy nie tylko z żyłki do kart, ale również z zadziorności. Tylko dzisiaj dałem się zaskoczyć tym trzem typom. Musieli mnie szpiegować i zejść od tyłu.

– Jesteś z Sandomierza? – zapytał Eustachy, ucinając opowiestkę o tym, jak Michał dał się podejść opryszkom.

– Tak. Mieszkam na Krakówce.

– Co robiłeś z tej strony Wisły?

– Do roboty szedłem. Zatrudniłem się jako dróżnik rzeczny, dbam o wały wiślane.

– Dróżnik rzeczny, powiadasz? Dziwny to fach, do tej pory słyszałem jedynie o dróżnikach kolejowych. A gdzie masz łopatę, grabie czy inne narzędzia? Wilcy pożarli? – Nadal pokpiwał ze Zdunka. – I czego jesteś sam, a nie z całą gromadą?

– No dobrze. Spostrzegawczy jesteś. Sam tę nazwę obmyślałem, bo brzmi ładniej niż robotnik wodny. Zresztą, o królu złoty!, przyznaję otwarcie, że kiepski pracownik ze mnie. Niedawno nająłem się za pomocnika, ale marna to fucha dla kogoś takiego jak ja. Harówka ponad siły

i nuda. A szwendam się w pojedynkę, gdyż majster zlecił mi skontrolowanie brzegów Trześniówki, bo po ostatnich deszczach jeden gospodarz skarżył się, że mu pola zalało. No i faktycznie mogło, skoro bobry urządziły sobie na jej brzegach zawody w ścinaniu drzew i krzaków. Miałem zlokalizować to miejsce, potem trzeba będzie bobry przepędzić i zburzyć im budowlę – objaśnił szczegółowo. – Ale, ale! Królu złoty! Tyś mi życie ocalił. A jako że, przynajmniej na razie, nie mogę się odwdzińczyć koszulą z najcieńszego batystu, przyjmij chociaż mą dozgonną przyjaźń. – Mówiąc to, zaszedł drogę swemu wybawcy, a następnie uklonił się nisko.

Dopiero teraz Eustachy miał możliwość, by uważniej mu się przyjrzeć. Choć mocno poturbowany, wyglądał na chłopaka, który w dziewczęcych serduszkach może wywoływać spory zamęt. Włosy miał ciemne, ostrzyżone wedle najświeższej mody gładko i krótko, zapewne wcześniej przylizał je brylantyną, lecz w potyczce jego uczesanie mocno ucierpiało i stroszyło się teraz nieestetycznie. Z rozbitego nosa ścieżka zakrzepniętej krwi wiodła ku zmysłowo wykrojonym ustom ozdobionym powyżej niewielkimi czarnymi wąsikami. Na Eustachego łypały oczy ciemnej barwy, wielkie, ocienione rzęsami, których pozazdrościć mogłaby mu niejedna panna. I zapewne niejedna ochoczo zatonełaby w ich głębi. Figurę miał akuratną: nie był ani typem osiłka, ani chucherkiem jak ryży opryszek. Zapewne na paniach całość sprawiała nader przyjemne wrażenie.

Ale Eustachy nie był panną na wydaniu, ominął więc zawalidrogę.

– Boże, strzeż mnie od przyjaciół, z wrogami poradzę sobie sam* – rzucił.

– Och! *Mon Dieu***! Przyzywać słowa kardynała de Richelieu w momencie, gdy ktoś szczerze deklaruje przyjaźń? Królu złoty! Serce mi krwawi.

– Krwawisz raczej z rozciętej brwi i rozkwaszonego nosa. A przyjaźń swą deklarujesz zbyt pochopnie. Nie znasz mnie, człowieku.

– To się da nadrobić, grunt, że z oczu dobrze ci patrzy. Zresztą skoro rzuciłeś się z pomocą nieznanemu, to znak, że jest szlachetnej natury. Jak się nazywasz?

– Eustachy.

– Eustachy, hm... zdaje się, że nie dosłyszałem nazwiska.

– Eustachy. Koniec i kropka.

– Nie! Nazywasz się Koniecikropka? Zaiste dziwaczne nazwisko! – przekomarzał się młody.

– To nie jest moje nazwisko – zirytował się Eustachy.

– Rozumiem, nie chcesz powiedzieć. Skoro nie chcesz, nie mów – paplał Zadzior, podążając wraz ze swym wybawcą w stronę Wisły.

– A ty czasami nie szedłeś do roboty?

– Ee... robota nie zając, nie ucieknij. O królu złoty i znawco samego kardynała, to co z naszą przyjaźnią? Będziemy druhami na dobre i na złe jak D'Artagnan oraz jego trzech kompani?

* Autorem tych słów był ponoć Armand Jean du Plessis de Richelieu (1585–1642) – francuski kardynał, pierwszy premier Francji w latach 1624–1642.

** Z francuskiego – Mój Boże!

– O! Widzę, że ty tak jakby trochę odczytany jesteś. – Eustachy się zaśmiał. Choć Zdunek wzbudzał w nim nieco irytacji, głównie z uwagi na straty w odzieniu, które przez niego poniósł, było w tym młodziaku coś, co go bawiło. – Kształciłeś się?

– Jak każdy. Ojciec i matka zadbali, by mnie wyprowadzić na ludzi. Posyłali mnie do szkół i nawet co nieco utkwili mi w łepetynie.

– W porządku – odparł Eustachy. – Te typki, co się na ciebie zasadziły, też są stąd? – zmienił temat. Ciekaw był, czy czasami nie wpakował się w tarapaty, zadzierając z lokalnymi bandziorami. Nie szukał kłopotów, ale też nie uśmiechała mu się dalsza tułaczka, skoro dawno temu założył sobie taki kres wędrówki.

– Nie. Wczoraj pierwszy raz zobaczyłem ich na oczy. Musieli przy płynąć statkiem. – Skłamał gładko. – Ale, ale! Królu złoty. A dokąd ciebie wiedzie droga? Czy zdążasz tam, gdzie San domierza do Wisły*? Do grodu zacnego Sędomira, który miłował pokój? – Zadzior przywołał legendarnego założyciela miasta.

– Nie inaczej – odparł Eustachy.

– A zatem, zbawco mój najmiłosierniejszy, zechciej wstąpić w skromne progi mego domostwa i zanim pobieżysz do swych, jak mniemam, ważnych spraw, przyjmij moją gościnę. Matuchna moja, nie żebym się przechwalał, przyrządza najlepszy kugel na świecie. Przepis na niego dostała od mieszkającej w pobliżu żydowskiej karczmarki, coś tam

* Sugerowane pochodzenie nazwy miasta.

od siebie do niego dołożyła, i teraz potrawa bije na głowę oryginalne danie. Cymes i delicyje! Palce lizać. – Cmoknął wymownie, naśladując dość udanie starszych braci w wierze. – U mnie się najesz, odsapniesz i doprowadzisz się do jakiego takiego ładu.

– Niechże ci będzie – przystał skwapliwie Eustachy. Strawa była sprawą drugorzędną, lecz na pewno przydałaby mu się igła z nicią, by poratować ubranie, a także miska z czystą wodą, aby mógł się obmyć z kurzu.



SPIS ROZDZIAŁÓW

Od Autorki	5
1 Niebezpieczne ścieżki	7
2 Gościna	23
3 Banda Ryżego	37
4 Utracone nadzieje	43
5 Marzenia	69
6 Ludzie gór	77
7 Lis	93
8 Ozdrowieniec	109
9 Dzicz	127
10 Przyjaźń	141
11 Miłości i miłości	149
12 Zażegnane niebezpieczeństwo	171
13 Płonne nadzieje	179
14 Znikąd ratunku	195
15 Dobroć	215
16 Spuścizna	235
17 Swaty	247
18 Narzeczona wbrew woli	259
19 Uciekinierka	283
20 Kruszyna	295
21 Koniec świata	305
22 Sekret	323
23 Wyjaśnienie zagadki	329
24 Złe sny	343
25 Przeznaczenie	367
Bibliografia	379